

Jacek Wakar, Polskie Radio

Trudno było znaleźć literackie podsumowanie ubiegłego roku, w którym nie znalazła się pierwsza wydana po polsku książka Davida Fostera Wallace'a. On sam dość szybko stał się legendą. Sprawili to dzieła, z tym najważniejszym „Infinite Jest” (ponoć ukaże się po polsku w najbliższych miesiącach), ale też życie. Ponad 20 lat zmagał się z depresją, czyniąc tę walkę wielkim tematem swych utworów. Na koniec zaś swoją batalię przegrał, tym samym własny mit ugruntowując. Odebrał sobie życie w wieku 46 lat, pozostawivszy dosyć skromną, a jednak frapującą spuściznę.

Już opowiadania zebrane w „Krótkich wywiadach z paskudnymi ludźmi” świadczą o skali talentu pisarza, pokazują jego całkowicie osobny charakter. Jeśli jest ktoś, do kogo można porównać tego Wallace'a, będzie to Philip Roth. Nie, to nie tak, że Wallace żeruje na jego twórczości, powtarza wykorzystane przez autora „Kompleksu Portnoya” chwytły i motywy. Łączy ich obsesyjne podejście do spraw ciała i seksu, zagłębienie w to wszystko, co przed oczami zwykłych śmiertelników ukryte, bezkompromisowe rozdrapywanie tajemnic z przeszłości i brak nadziei na finałowe wyleczenie. Proza Wallace'a jest fascynująco namacalna, nie da się czytać jej bez emocjonalnego zaangażowania. Tak mają pisarze największego kalibru. Ich książki zagarniają świat. To jest przypadek „Krótkich wywiadów z paskudnymi ludźmi”.

Zasłużona sława, jaka okryła książkę po jej polskim wydaniu, sprawiła, że prędzej czy później musiał się nią zainteresować teatr. Nic w tym zaskakującego, fali przedstawień opartych na powieściach Michela Houellebecqa nie mamy tylko z powodu trudności z uzyskaniem praw, ale zapewne to się szybko zmieni. Tyle że atrakcyjność dzieła i mocny tytuł na afiszu to jedno, zaraz potem rozpoczynają się schody. „Krótkie wywiady z paskudnymi ludźmi” dostarczają materiału na co najmniej kilka spektakli. Ich konstrukcja, oparta na bogactwie krótkich, acz fascynująco różnorodnych form, sprawia, że bez trudu dałoby się je tasować, ustawiać w coraz to inne konfiguracje. Marek Kalita w warszawskim Przodowniku zaproponował jeden sposób lektury książki Wallace'a, ale każdy z jej czytelników w głowie ma własny. Z nim przychodzi na przedstawienie, dlatego musi dojść do konfrontacji spojrzeń. Reżyser „Obrzydliwców” wychodzi z niej obronną ręką.

Obrzydliwcy jak my

TEATR DRAMATYCZNY „Obrzydliwcy” na Scenie Przodownik są jak seans psychoanalizy – dwie i pół godziny cięcia niezabliźnionych ran i gorzkiego śmiechu. Marek Kalita przeczytał „Krótkie wywiady z paskudnymi ludźmi” Davida Fostera Wallace'a jako opowieść o depresji naszych czasów



KATARZYNA CHMURA

Najpierw tytuł. Widowisko w specjalnie zamówionym przez Teatr Dramatyczny przekładzie Rubi Birden nazywa się „Obrzydliwcy”. Powie ktoś, że do tytułu dobrano obsadę, bowiem Henryk Niebudek, Waldemar Barwiński, Piotr Siwkiewicz i Sebastian Stankiewicz w specjalnych charakteryzacjach i odpowiednich kostiumach do czarujących wyglądem raczej nie należą. Jest jeszcze Mariusz Dręzek w roli kobiety zamkniętej w męskim ciele, ale to nieco inna historia. Kalita bierze z książki Wallace'a przede wszystkim porzucane po niej tytułowe „Krótkie wywiady z paskudnymi ludźmi”, przeistaczając je w monologi bohaterów. Dokłada jeszcze fragment opowiadania „Na zawsze w górze”, gdzie skok trzynastoletniego chłopca z basenowej trampoliny oznacza bolesne zanurzenie się traumę dorosłości. Łączy to wszystko swoją konferansjerką niejaki Benny

(Sebastian Stankiewicz), ni to terapeuta, ni szemrany showman, ni przywódca zebranych w grupie wsparcia świrów.

Marek Kalita opowiadał przed premierą, że nie chce tego określać wprost, tylko zależy mu na stworzeniu na scenie Przodownika męskiego klubu, trochę jak w filmie „Podziemny krąg” Davida Finchera. To się udało, bowiem otrzymaliśmy zaproszenie do dziwnego, skąpanego w półmroku miejsca, gdzie pękają wszystkie bariery wstydu i upokorzenia. Kolejne wystąpienia Marca, Kenny'ego, Jackpota i Teddy'ego oznaczają coraz głębsze zanurzenie w ich chory świat męskich obsesji i perwersji. Ktoś opowiada o najdziwniejszych sposobach osiągania seksualnej satysfakcji, czerpaniu przyjemności z sadomasochistycznych praktyk. Wstrząsający jest Piotr Siwkiewicz w opowieści o brutalnym gwałcie, który przynosi jednak spełnienie ofierze, bowiem ta obdarza sprawców samymi pozytywnymi uczuciami. Można tu wyczuć echa spowiedzi Stawrogina z „Biesów” Fiodora Dostojewskiego.

„Obrzydliwcy” skupiają się na śledzeniu seksualnych perwersji, można też z książki Wallace'a wyciągnąć inne tematy. Marek Kalita dokonuje jednak takiego wyboru i trudno się w tym doszukać chęci skandalizowania. Potrzaskani faceci z jego przedstawienia traktują swoje fantazje i obsesje niczym ucieczkę od rzeczywistości. W ten sposób, trochę mimochodem, „Obrzydliwcy” nie są jedynie o piątce obrzydliwców, ale o świecie pogrążonym w nieuleczalnej, pogłębiającej się depresji. To jest choroba naszych czasów – mówi za amerykańskim pisarzem reżyser spektaklu w Przodowniku – i nikomu nie uda się przed nią uciec.

Kalita zgrabnie miesza fragmenty dramatyczne z kubłami wisielczego, niemal chorego humoru. Mammy szyderstwo z psychoanalizy oraz z intelektualnych dysput z obowiązkowym powoływaniem się na Foucaulta. Niebudek, Dręzek, Barwiński i Siwkiewicz grają doskonale, ostro szkicując swych bohaterów. Nie boją się ośmieszenia, ale na koniec wywołują dla nich współczucie. Zdecydowanie gorzej wypadł Sebastian Stankiewicz w wiodącej roli Benny'ego. Może zabrakło mu doświadczenia, ale jednostajna tonacja tej postaci po krótkim czasie zaczyna nudzić. Myślałem podczas seansu, jak zagrałby to... Marek Kalita. Byłoby jeszcze inne przedstawienie.

Ale i tak – mimo trzech point i średniej roli Stankiewicza – jest dobrze. „Obrzydliwcy” w Przodowniku, podobnie jak proza Wallace'a, to wyzwanie do podjęcia na własną odpowiedzialność. Warto zaryzykować. ©

„Obrzydliwcy” Davida Fostera Wallace'a | reżyseria: Marek Kalita | Teatr Dramatyczny w Warszawie, Scena Przodownik